

1/540

Relację z p. Antonim Miziołkiem przeprowadził Dariusz Marciniak.

ARCHIWUM WSCHODNIE

Nazywam się Antoni Miziołek. Mieszkam obecnie w Lublinie. W roku 1925 moi rodzice przyjechali z Piotrkowa Trybunalskiego do województwa Nowogródzkiego. Tam nabyli ziemię na prawach osadnictwa wojaskowego, ponieważ ojciec mój służył w legionach podczas pierwszej wojny światowej, w powiecie Skonim, gmina Derewna w osadzie Horoszewicze. Mieszkaliśmy tam do 1940 r. Do wojny rodzice zajmowali się uprawą roli, a ja chodziłem do szkoły. Ukończyłem szkołę podstawową w Skonimie, później uczęszczałem do szkoły we Wilnie.

Po wybuchu wojny w 1939 r. ojciec mój został zmobilizowany i służył chyba w policji polowej. Była to służba pomocnicza, gdyż ojca mego przydzielono do posterunku w Korzewszczyźnie oddalonego o 23 km. od naszej miejscowości. Po rozpadnięciu się Polski ojciec mój powrócił do domu.

Zachowania ludności miejscowej.

Wokół naszej osady były same wsie z ludnością białoruską. Nas osadników polskich było w osadzie 22 rodziny. Miejscowi nie za bardzo się do nas się odnosili, szczególnie była tam taka wioska, gdzie większość była związana w jakiś sposób z ruchem komunistycznym, a przynajmniej z nim sympatyzowała. Druga najbliższa nam o takiej samej nazwie jak nasza raczej sympatyzowała z nami. Tam był komendant "Strzelców", były również "Orlęta". Współpracowaliśmy ze sobą. Oni przychodzili do nas, a my do nich. Tam mogliśmy znaleźć jakąś pomoc. Ludność zamieszkująca w innych osadach starała się dokuczać Polakom.

Gdy wkroczyły wojska sowieckie wszyscy byli ciekawi jak będą one wyglądały. Przez wiele dni słychać było tylko szumy silników. Po dwóch dniach bezkrólowia pojawiły się pierwsze oddziały wojska, pierwsze czolgi. -wojska polskie takich nie miały przed wojną, były to chyba T-34. Każdy chciał by ich zobaczyć, oni nas niezdawiali. Wojska sowieckie wita-

tańc uroczystości. Młodzi białorusini szczególnie z warstwy biedniejszej budowali piękne brzozy, witano chlebem i solą, mówiono "czekaliśmy na was przez dwadzieścia lat". Starsi zaś, pamiętający wojnę z 1920 roku zdawali sobie sprawę ze skutków okupacji, oni nie byli zachwyceni jej perspektywą. - mówili do tych, którzy witali wojska "...teraz to wy ich witacie, ale później to bądźcie ich głównym wyznacznikiem..."

Wkroczenie wojsk sowieckich wywołało wśród ludności miejscowej różne reakcje. Niektórzy białorusini w pewnym momencie chcieli wyrzucić wszystkich Polaków do samego piekła. Zaczęły występować napady na sąsiedzkich posiadaczy. Wydarzyła się pewnego dnia historia, którą chcę przedstawić szerzej. Pomiędzy naszą osadą, w wsio białoruską płynęła rzeka Issa. Traktem do Słonimia przejeżdżała kolumna sowieckich czołgów i szkieletowa (nie była bardzo dobrze uzbrojona, karabiny mieli na sznurkach i drutach). Kiedy mieszkańcy pobliskiej wsi zobaczyli, że idzie wojsko powalili, i zaczęli żądać Polaków wyrzucić. Rozeszła się po wsi ta informacja i cała wieś od najmniejszego do największego przybiegła z widłami, kosami, poręczaczami, taw karczani z czym kto mógł by nas zabić.

Za naszym domem, ktoś pracował w polu, jakaś kobieta zobaczyła biegących Białorusinów zaczęła krzyczeć... "Ludzie ratujcie się, bo "Nagujewscy lecą" (Nagujewscy bo tak nazywała się wieś białoruska - Nagujewsk). W naszej wsi wybuchła panika, wtedy zwrócili się do oficera kierującego wojskiem, aby nas ratował. On zatrzymał całą kompanię wojska i skierował ich naprzeciw biegących. Kiedy napastnicy orientowali się, że w naszej obronie występują wojska sowieckie, zaczęli uciekać, tak że o mało nie wtopili się w rzecę Issie.

Wtedy, że powodów nienawiści do nas było panujące wśród nich przeświadczenie, że to my zbraliśmy im ziemię. Nie wiem, czy to było prawdą, przecież nasi rodzice okupili ją od szlachezki Jany Hertinga.

Ziemie te były bardzo uradzajna i z tego powodu nazywaliśmy ją "świńką".

Myślałem, że sytuacja zaczęła się coraz bardziej zagęszczać. W kilka dni po opisany nieludny napadzie mój wuj i ojciec za przynależność w czasie wojny do policji chcieli zabić. Zwłaszcza to ojciec i wuj Romana Jackowskiego do bruzowania domu i szukania ratunku w ucieczce. Coraz częściej zdarzały się napady na polskie rodziny. Do nas też zaczęli częściej przychodzić.

Pewnego razu był napad. Na początku zarządzano od nas byśmy oddali broń ojca, która rasowo miał posiadać. Była to nieprawda, nie mieliśmy żadnej broni, w całej osadzie tylko osadnik Pizarski posiadał pistolet. Potem chcieli mordercy ojca. Nic nie uzyskując na szczęście odeszli.

Następną noc przyszli Białorusini z Wajuwic. Przewodzili im bracia Romanukowie Maksym i Teofilowscy z braci był od dawna komunistą był podły, drugi Teofil był bardziej ludzki, posiadał rodzinę i własne dzieci z którymi się często przed wojną bawiliśmy. Kiedy nam otworzyć drzwi pod pretekstem poszukiwania ojca, jego broni i munduru. Nie było wyjścia byliśmy zmuszeni otworzyć. Przy poszukiwaniu zaczęły się kradzieże, najpierw zabrali nam przechowywane w siewnicy jabłka (przed wojną mieliśmy duży sad i zbiory przechowywaliśmy w piwnicy). Zabrali nam nowe kosze do zbierania ziemniaków. Prosiłem by je nam pozostawili, przecież zbliżały się wykopki ziemniaków i bez nich nie mogliśmy zbierać. Prosiłem by jabłka zabrane ładowali do własnych kopci pozostawiając nam kosze. Jeden z braci, Maksym, bardzo się zdenerwował, zaczął głośno krąć i wyszywać. Uderzył mnie na odlew tak, że wyróciłem się wzwyż i upadłem na jabłko. Wtedy mama zaczęła mnie prosić bym dał spokój, niech biorą wszystko co chcą, aby tylko nam dali spokój.

Następny napad był znowu za parę dni. Przychyli w nocy. Tym razem przyszedł serdeczny przyjaciel mojego szwagra (siostra wyszła za mąż przed wojną) Białoróżin Gałajsza. Razem służyli w wojsku w 21 PAI-u w Rótniu. Spytał się mamy (siostra Malina leżała bardzo osłabiona po niedawnym porodzie) czy szwagier Stanisław Gąpżyn wrócił. Był bardzo zdziwiony, że jego jeszcze nie ma. Następnie zarządził broni. Mama odpowiedziała zgodnie z prawdą, że nie mamy. Ponownie zaczął szukać munduru - na szczęście w tym czasie mundur i buty ojca były zskopane w niewnicy. Mama zaczęła go prosić by dał nam spokój, nawet dociskała go w rękę. (...relacjonujący był tym faktem bardzo wzburzony...D.M.)

Wtedy dotrzeć cofnęli się, pewnie pozwili się grupie. Znaliśmy ich wazy-
atkich od małego. W tym czasie moja siostra tak się przestraszyła, że
zaczęła nie patrząc na osłabienie do porodzie wraz z dzieckiem
uciekać. Wyszła przez okno i schowała się w chaszczach sadu. Myślała, że
to przysli po nią. Była tak przestraszona, że musieliśmy jej długo
szukać.

W tym czasie wrócił ojciec, może nie całkowicie, bo wracał jedynie
w dzień, nocą ponownie uciekał. Schronienie znalazł w Staniemiu u pew-
nego nauczyciela Michała Marmajewskiego.

W naszej osadzie panowała atmosfera przyciśnięcia i strachu.
Było strasznie. Baliśmy się by nas nie zabili. Strach opanovał nas
tak, że kiedy sowiecy żołnierze zabrali mnie i kilku innych ludzi
z osady jako podowody do przewożenia broni pochodzącej od rozbrojo-
nych polskich jednostek, to my myśleliśmy, że to nasz koniec, że przysli
nas zabić. Kiedy wiedzieliśmy broń cały czas pilnował nas sowiecki żoł-
nierz. Wracając z tej akcji dowiedzieliśmy się, że tej nocy miał odbyć się
napad na naszą wieś i że wszystkich mają zabić. Wracając zaczęliśmy się
bać, że nie będzie gdzie wrócić, że może już wszyscy nie żyją. Famiłtam jak
wjechaliśmy do wioski było bardzo cicho, żaden pies nie szczekał. Bardzo

się przestraszyłem. Na szczęście okazało się, że nie było napadu i wszyscy żyją.

Zabrano nam sad. Białorusini zaczęli się kłócić o nasze drzewka. Do tego wszystkim nie mogąc być pod taką presją poszliśmy do Skonimia do komisarza Kołotowa i powiedzieliśmy mu o panującej sytuacji, o tym, że chcą nas zabić. Wysłuchał nas uważnie i spytał czy w osadzie są jacyś milicjanci. W tym czasie było dwóch funkcjonariuszy, byli to przedwojenni złodziejaski z Horoszewicz-Białorusini Jurczyk i Adam.

Komisarz Kołotow dał nam dla nich pismo, a nim przykaz by teraz za sowieckiej władzy Polaków nie ruszano i że władza sowiecka sama będzie sądzić, który Polak jest winien. Nie wiedzieliśmy wtedy, że te słowa tak szybko się w tak tragiczny sposób dla nas się ziszcą. W liście tym zagrożono, że jeżeli nadal będą się powtarzać napady na polskie osady, to będzie za nie odpowiadać zbiorowo cała wieś. Przekazaliśmy owe pismo milicjantom. Oni zrobili zebrania w okolicznych wsiach, Horoszewiczach i Nagajewiczach. Od tego czasu sytuacja uległa poprawie. Wszystko się uspokoiło i nie było już więcej napadów.

Przez cały czas sowieci prowadzili rabunkową gospodarkę. Zaczęli wycinać okoliczne lasy i wawozić drzewo. Wycięto w znacznym stopniu lasy rządowe jak i hrabięgo Postowskiego. Do tej pracy zaczęli zmuszać mieszkańców okolicznych wsi. Wszyscy powoli zaczęli się burzyć, bo to była ciężka praca i zaczynało już wszystkim brakować. Na wszelkie narzekania polityruk odpowiedział, że w Rosji ludzie jedzą tylko chleb i kapiatok i jeszcze są stachanowcami. Myśmy nie potrafili tego zrozumieć.

Tuż przed samym wywiezieniem młóciłem z ojcem zboże. Pano miał je

zawiesić do młyna. Tej nocy nas wywieziono. Było to 10 lutego 1940 r.

Przyjechali do nas o godzinie trzeciej nad ranem. Zastukali w drzwi, kazano nam otwierać. W tym czasie ojciec wraz z bratem Marianem spał w kuchni, zaś mama, siostra z dzieckiem, młodszy brat i ja spaliśmy w pokoju. Do domu wkroczyło NKWD, zdaliśmy sobie sprawę, że nasza sytuacja bardzo się pogorszyła i że szykuje się coś niedobrego. To już nie był napad, ojciec sprawdził, że za oknem stali żołnierze oraz czekała ludność miejscowa wraz z podwozami.

Mama przestraszyła się, że chcą zabrać ojca i zaczęła krzyczeć. Myśmy wyskoczyli z łóżka i rzuciliśmy się do kuchni. Dowodzący spytał się czy nie ma obcych w domu. Kazali się nam ubrać, odczytano listę naszej rodziny. Powiedziano nam wkrótce potem, że pojedziemy w głąb ZSRR. Kazano się spakować. Pozwolono nam zabrać żywności na dwa tygodnie i trochę rzeczy dla siebie. Nasza rodzina była dość duża tak że nie wieszaliśmy się na jedne sanie wraz z bagażami, przecieź zabraliśmy ze sobą piarżyny i trochę innego dobytku. Zaprzęgliśmy więc nasze sanie i tam przeładowaliśmy część rzeczy. Pilnował nas w tym czasie jeden żołnierz.

Czekaliśmy tak na bagażach do samego rana. Kiedy wstało słońce, krowy zaczęły ryczeć, trzeba było również nakarmić resztę zwierząt. Ojciec za zgodą pilnującego nas żołnierza ogorządził gospodarstwo. Przyniósł też nam dziesięć trochę mleka. Tenże żołnierz pozwolił nam napalić w piecu i ugotować coś do jedzenia. Siedzieliśmy w domu do godz 14.

Żołnierz powiedział nam w wielkiej tajemnicy, że wywożą nas daleko na Syberię.

Po południu ześledowano nas ponownie i tym razem nieodwracalnie na sanki i wyruszyliśmy w drogę. A krótko przed wyjazdem zastanawialiśmy się czy mamy zabrać ze sobą piłę i sikiarkę. Oficer powiedział, byśmy brali bo to będzie nasz chleb. Wtedy ojciec już wiedział gdzie nas mają zabrać.

Myśleliśmy, że mają wywozić tylko naszą rodzinę, okazało się jednak że z wszystkich domów wyruszają podobne do naszego transporty. Wywieziono w tej turze wszystkie 22 rodziny. Opustoszała cała wieś. Razem z nami wywieziono trochę białorusinów z Nagajewska - byli to gajowi i bogatsi gospodarze.

Wszystkie wyworzone rodziny ustawiono rzędem na trakcie i eskortowano do małego miasteczka Mołoczeń. Było bardzo zimno, temperatura spadła poniżej -30 stopni celsjusza. Do Mołoczeń było 25 km. Trochę dziwiliśmy się, że nie wiozą nas do bliższego Słonimia. Po drodze z powodu mrozu zmarła w naszym transporcie mała dziewczynka jednego z osadników. Nie dano jej nawet pochować, wrzucono w śnieg i kazano dalej jechać. Na miejsce dojechaliśmy wieczorem. Tam już były podstawione bydłocze wagony, do jednego ładowano po kilka rodzin. Powiedziano nam, że pojedziemy nimi tylko do Baranowicz, a tam przeładują nas do lepszych.

W tym czasie można było jeszcze z transportu uciec, ale nikt nie chciał zostawiać rodziny, nie wiedzieliśmy po za tym co nas może czekać na zesłaniu. Różnie to sobie wyobrażaliśmy.

Do Baranowicz dojechaliśmy w załadunkowych wagonach nad ranem. Tam już były poszerzone torowiska, przystosowane do sowieckich standardów. Dokładano po prostu po jednej szynie. W Baranowiczach chyba dwie osoby uciekły z transportu.

Ponownie załadowano nas do bydłoczych wagonów, może były trochę większe od tych którymi podróżowaliśmy dotychczas. Nazywano je ciepłuszkami ponieważ posiadały piecyki. W każdym wagonie zrobione były nary. W naszym wagonie jechała oprócz naszej rodziny Jackowskich, Wydmuków razem 4-5 rodzin.

Piecyk stał po środku wagonu. W tylnich drzwiach zrobione były na kształt rynny deski, było to miejsce gdzie mieliśmy się załatwiać.

Nie byliśmy przyzwyczajeni do takich warunków, i bardzo się krąpowaliśmy. W czasie drogi wagony były zaopatrzone. Nasz transport musiał ciągnąć aż dwie lokomotywy, jedna była na przodzie transportu, druga pchała z tyłu. Nie dawano nam przez pierwsze dni wody. Dopiero po przekroczeniu granicy na stacji Tamańsko dano nam po raz pierwszy chleb i kapuśniak. Zabranco w tym celu kilku mężczyzn z wagonu, aby przynieśli jedzenie.

Domagaliśmy się wody. Dopiero po wyjściu ze stacji zatrzymaną ponownie pociąg i pozwolono nam nabrać śniegu. Każdy nabierał w co tylko mógł, toniliśmy to różnie i gromadziliśmy zapasy. Dopiero po kilku dniach ponownie mogliśmy je uzupełnić. Tym razem dano nam wody. Pamiętam mieliśmy kłopoty z zakatowaniem się. Wszyscy wstydziliśmy się. W początkowej fazie podróży wszyscy czekali do zapadnięcia zmroku. Do poru dniach zatrzymano pociąg i pozwolono zakatować się na świeżym powietrzu. Woleliśmy to bo w wagonie zaczęło śmierdzieć. Wokół chodzili żołnierze, ale myśmy się już nie wstydzili. Zabrali nam i tę odrobinę podności. Obok siebie siedzieli kobiety i mężczyźni, starcy i dzieci.

W głębi Rosji częściej zatrzymywano pociąg i wypuszczano nas na świeże powietrze. Nie wolno było się jednak oddalać od wagonów.

Jechaliśmy bardzo długo. Mineliśmy Moskwę, potem Wologdę. Dojechaliśmy do stacji Sienidze. Tam nasz transport podzielono. Tylko pięć rodzin z naszej osady w tym moje trafiło z nami na posesję Rossochy, a reszta znalazła się na posesji Uksale. W Sienidze podjechały po nas sanie, nimi to wyruszyliśmy na następny odcinek naszej drogi. Był to bardzo długi, przejechaliśmy około 200 km. do miejsca naszego pobytu. Nasze drogi była jednostajna, jechaliśmy od Sialsowietu do Sialsowietu. Wieczorem kwatrowano nas po różnych pomieszczeniach. Miejscowi musieli nastawić dla nas samowar z wodą, nie mogli się z nami kontaktować. Nam również nie wolno było z nimi rozmawiać. We postojach zmieniano konie i rano wyruszaliśmy w dalszą drogę. Przed samym lesem

punktem gdzie mieliśmy być osiedleni rozpraszając jak zwykle napalili się w piecu, dala nam herbaty. Potem, aby nikt nie widział zawołała naszą mamę i spytała czy my jesteśmy "Polskie Pany". Mama odpowiedziała jej, że my jesteśmy tylko rolnikami, normalnymi ludźmi.

Dotarliśmy do obojczyka wycieczki na 10 km. Na tym obojczyku były dwa przy-
stanki "kika" i "kobylnia" coś na kształt samotnych chat, gdzie można było się ogrzać.

Dotarliśmy do lasopunktów. Byliśmy zaskoczeni tym co zobaczyliśmy. Samotne baraki w środku tajgi zasypane po dachy śniegiem nie nastrojały nas optymistycznie. Baraki były długie, po środku każdego stał długi stół, był piec i kryza. Jak przyjechaliśmy, to każdy jak to normalnie bywa chciał zająć lepsze miejsce, kobiety wyszły na mętów, by ci zajęli jak najlepsze. Ci zaś po chwili wiedzieli, że nie ma się o co kłócić, wszystkie były takie same. Przed naszym przybyciem baraki te były zamieszkałe lesorubami, których teraz przeniesiono w inne miejsca.

Do naszego baraku weszli to pięć rodzin. Wszędzie było dużo pluszaw. Coś było robić, przecież trzeba było żyć. Dzieci płakały, kobiety płakały i modliły się.

Nasz obóz oprócz budynków, az raczej baraków posiadał sklep, właściwie namiastkę sklepu, bowiem prawie nic nie można było w nim kupić. Musieliśmy się zagospodarować na nowym miejscu pobytu. Nie dano nam wiele czasu, gdyż następnego dnia spisano nas wszystkich i zaczęto wyganiać do roboty. Podzielono nas na brygady lesorubów, bowiem nie było innej pracy dla nas, wszyscy pracowali przy pracach leśnych. W brygadzie każdy miał ustalony zakres pracy. Mężczyźni ścięli drzewa, kobiety obrabowały gałęzie. Początkowo do lasu chodzili jedynie mężczyźni i włóczęgi, następnie wszyscy, bo trzeba było przygotowane drzewo zwieźć. Praca była bardzo ciężka, początkowo nie byliśmy do niej przygotowani. Nie wykonywaliśmy umieliśmy wykonywać prac leśnych. W Polsce pięć ciągnęły dwie osoby, tutaj musiała to robić jedna. Fakt

mieli oni specjalne giły tzw. angielski, które mogły obskubiwać jedną osobę. Inna osoba w brygadzie tzw. "rozkrępowczyk" segregował drzewo i ciął na kawałki. Zarobki były bardzo małe, trzeba było wykonywać narzucone przez władze normy.

Moja praca polegała na transportowaniu drzewa. Aby zwiększyć wydajność pracy sowieci próbowali wprowadzić w naszym podwórku stacjonariusze odpowiedzialność za pracę. Brygada w całości musiała podjąć zobowiązanie, że ma wywieźć określoną ilość drzewa.

Jak wspominałem zarobki były bardzo małe, dorobek zarabiał przeciętnie 100-120 rb. Jak ktoś zarobił 120 rb. to już było bardzo dużo i trzeba było bardzo dużo pracować, by wykonać odpowiednią normę. Przeciętnie zarabialiśmy 50-80 rb. We więcej nie starczyło się. Nie dostawialiśmy ubrań do pracy. Gdy wykonaliśmy normę to brygadziści dawali nam premię w wysokości 300 rb.

Wyżywienie było słabe. Przez pierwszy okres pobytu dostawialiśmy (był to bardzo krótki okres) po 1000 gr chleba. Potem zmniejszono nam wydawanego chleba do 900 gr, stopniowo nadal ulegało ono zmniejszeniu do 500 potem 700 gr chleba dziennie. Zimą były okresy, że nie wydawano nam tej normy ponieważ warunkiem śniegowe uniemożliwiły dostarczenie wystarczającej ilości chleba. Niepracujący członkowie rodziny otrzymywali do 500 gr chleba, ale gdy brakowało chleba dla pracujących normy obniżano do 100 gr.

Chleb, trudno o nim mówić mając na myśli chleb dzisiejszy, chleb jaki dostawialiśmy był razowy, pieczony w brytwankach. Był ciężki jak gлина. Chleb można było wykupić, oczywiście w ramach przydziałów. I tak 1 kg. kosztował 1,05 rb. Czasami podawano nam biały chleb, dostawialiśmy go z okazji świąt rewolucyjnych, kosztował on 3 rb.

Zupa gotowano tylko dla pracujących. Trzeba więc było się dzielić jej przydziałem z resztą niepracującej rodziny. Zupa kosztowała rozmaicie czasem 20 kopiejek, czasem 50, zupa była gotowana na kaszy jęczmiennej. Gotowano też zupę tzw. "uchą" na rybach kłach lub małych rybkach. Zarobki nie wystarczały, aby wykupić przydziały.

Jedną rzecz była dobra, jeżeli ktoś nie miał pieniędzy, żeby wykupić chleb to nie musiał iść do pracy. Wtedy władze w osobie komendanta gościny dawały pieniądze, aby można było wykupić chleb, a co za tym idzie iść do pracy.

Ratowaliśmy się w różny sposób. Latem pracować było w miarę łatwo, bowiem zapasy można było zbierać w lasach. Latwiej było już wiano. Pamiętam jak przyjechaliśmy tu pod śniegu wystawały zamrażnięte jagody i grzyby, których było tu mnóstwo. Wtedy dzieci chodziły i zbierały mroźne owoce i grzyby.

Cały czas dawano nam gorącą wodę czyli tak zwany kipiatak. Gotowano go w dużym kotle. Wrało się taki kipiatak, sól i trochę chleba. W mojej rodzinie było cztery osoby i było nam bardzo ciężko, a jak nie było dostaw to sytuacja była stawała się wtedy tragiczna. Latem obiecaliśmy pokrzywę albo obrócę tzw. koński łeb (być może chodzi tu o lebidę-przypis D.M.) i nieeszeliśmy z zupą. Moi rodzice tego nie robili i nam nie pozwalali tego robić, bo od tego bardzo się puchło.

Co mogliśmy to sprzedawaliśmy i jakoś żyliśmy.

W mojej rodzinie pracowali ojciec, ja i siostra. Na naszym utrzymaniu pozostawała matka i dwóch braci. Można było się utrzymać. W lepszej sytuacji były te rodziny w których stosunek pracujących do niepracujących był korzystniejszy, gdzie nie było dzieci, a tylko dorośli którzy mogli zapracować na siebie.

W ośrodku bardzo szybko zaczęliśmy chorować na cynam (szkorbut) spowodowane to było brakiem wystarczających ilości pożywienia, a szczególnie braku warzyw i mięsa. Zaczęły się otwierać rany, zęby zaczęły się

się ruszać a następnie wypadać. Brak było warzyw. Aby nas tatować wprowadzono trochę suszonej cebuli, którą zaczęto dodawać do zupy. Kucharki doradziły nam, abyśmy zbierali wieszak igły sosnowe i zaparzone pili. To trochę pomogło, potem poradzono nam abyśmy z młodych sosenek odzierali korę i wybierali z niej żywicę z tykciem. To trzeba było jeść, miało to trochę słodkawego smaku. Wieść ta roznieśli się po naszej zasadzie i spowodowała, że wycieliśmy cały młodziak rosnący za naszymi barakami.

Nie mogliśmy oddalać się samodzielnie od kł^{ów} baraków. W pierwszym roku pobytu pracowaliśmy blisko obozu. Zdarzyło się, że pracowaliśmy na wzgórkach gdzie spał niedźwiedź. Mieliśmy dużo szczęścia, że on się nie obudził i nas nie zaatakował. W tajdze oprócz niedźwiedzi o większych zwierząt były losie i rysie. Ze względu na niebezpieczeństwo tych ostatnich, ostrzegano nas abyśmy samodzielnie nie oddalali się samodzielnie od obozu, bo mogłyśmy zginąć w razie ich ataku.

Nie mogliśmy polować, po pierwsze nie mieliśmy broni, a po drugie za zabicie losia można było otrzymać 5 lat obozu. Zakaz polowania nie obejmował niedźwiedzi, ale jak tu bez broni można było polować na te zwierzęta.

Brak odpowiedniego odżywiania, ciężka praca spowodowała coraz częstsze występowanie różnych chorób. Były pierwsze przypadki śmierci. Pierwsza zmarła pani Badurova, ona przyjechała już chora i bardzo szybko od nas odeszła. Pamiętam był to pierwszy pogrzeb, jeszcze uroczysty. Zgromadził wiele ludzi, odprowadziliśmy ją wszyscy ze śpiewem i modlitwami. Potem śmierci coraz częściej gościła w naszym obozie. Ludzie zaczęli umierać na czerwonkę, następnie na tyfus. Dawali nam co prawda jakieś leki, były też serie bolesnych zastrzyków (40), ja sam dostałem ich 36. Na tyfus zachorowała moja mama.

Oprócz tych chorób, chorowaliśmy na zapalenie płuc, różne przeziębienia, gdyż brak nam było odpowiedniej ilości i jakości odzieży.

Nie stał nas było na zakup w sklepie szufajki, czy też walców.
Aby kupić walców dla mnie mój ojciec sprzedał swoją wojskową kurtkę, ze uzyskane pieniądze mógł kupić dwie pary walców. Do pracy dawali nam jedynie rękawice.

W obozowym sklepie nic nie można było kupić. Pod dostatkiem było jedynie proszku do mycia zębów, ale nie on nam był potrzebny.

Później umierano z wycieńczenia. Było to wynikiem jak wspomniałem słabego odżywiania i ciężkiej pracy.

W naszej rodzinie najpierw zmarła córka siostry na krwawą biszoptę. Później ojciec w wyniku zapalenia płuc. W obozie jak wspomniałem była wprowadzona felczeryca, ale nie miała leków. Można śmiało powiedzieć, że nie mieliśmy żadnej opieki medycznej. Ja sam chorowałem na kurzę ślepoty.

W naszej okolicy było cztery inne miejsca, gdzie przebywali polacy (przynajmniej ja znam tylko). W nich to jest w kwartale Nr 6, 54, 58 i naszym Rosochy przebywało około 1000 osób, z tego przeżyło może połowa. Bezpośrednio jak wyjeżdżaliśmy po amnestii na cmentarzu pozostawiliśmy las krzyży.

Mogliśmy utrzymywać kontakty z sąsiednimi kwartałami. Wprawdzie trzeba było uzyskać odpowiednią przepustkę, lecz nasz komendant nie robił nam specjalnych przeszkód. Trzeba było jedynie wrócić w wyznaczoną godzinę.

Wieczorami nie wolno było chodzić nawet do sąsiednich baraków, tak naprawdę to każdy był tak zmęczony, że przemoczony, że marzył o powrocie do domu i odpoczynku. Moja choroba, tj. kurz ślepoty spowodowała, iż pewnego razu o tym nie zganiłem. Wracając o x

z roku z lasu zapoczął się o saski i zostałam ze swoją brygadą. Jako, że po zeroku nie był nie widziałem zacząłem błądzić, na szczęście zaraz za naszą wracała następna brygada ta co ręką las i oni to zaprowadzili mnie do domu. Jedynym lekarstwem przyjmowałam na tą dolegliwość był tran. Tak dostałam parę żurek to na jakiś czas odzyskiwałam wzrok.

W naszym obozie zaczęły wymierać całe rodziny. Pamiętam, że w pewnej rodzinie Szpakowskich wymarli rodzice, a pozostały same dzieci dwóch chorobów. Wzięłam ich później do sowieckiego sierocińca, i nie wiem co się z nimi później stało.

Święta.

Wia w każde niedzielę pozwalano nam odpoczywać. Pomimo, że władze wiedziały, że kolacy obchodzić sobie nie mogą, a może właśnie dlatego nie zwalniały nas od pracy. Pamiętam pierwszą moją Wielkanoc spędziłam w pracy. Tak naprawdę do chwili przyjazdu na zimę nawet nie było czasu na święta. Wtedy to nawet koczowniczymi ustawiały,

Wiem, pracowałyśmy przy sprycie. Na sprycie każdy spędził obito, do tego można było dobrze zarobić 200-300 rb. Czasem dostawało się wyrzucanie rybą truską, suszonego kurczaka, czasem jakieś kluski. Na sprycie pracowałyśmy bardzo ciężko. Cały czas trzeba było pilnować aby nie było szarów, szarzały się kędziela w zimnej wodnej wodzie. Spędziliśmy Arzawa trzeba było zbież w trawę, Synyło ono r raską XXXX do Archeologicznej.

Nasz komendant był do nas przyjaźnie nastawiony. Przychodził do nas, a czasem z nami rozmawiał. Traktował nas dobrze. Nawet jak zdarzały się jakieś konflikty to próbował całą sprawę załagodzić, bez odwoływania się do władz wyższych.

(przerwa w narracji OK. o. 5. str. 5. , odpowiedź na podstawie notatek.)

W naszym obozie przeżywałyśmy podzielenie pracy i odpoczynku.

Po ogłoszeniu umowy o amnestii wyjechałam z rodziną na po-
 żądanie. Jedliśmy przez Kijów i miasto Wołodymyr. Podążaliśmy do
 obozów gdzie się znajdowały wojska polskie.
 W czasie drogi zdarzył mi się bardzo przykry wypadek. Na stacji Ma-
 rtynowa gdzie zatrzymał nas pociąg, wyszłam z wagonu,
 aby poszukać wody. Poinformowano mnie, że jest jakiś kocioł z
 wodą przy stacji przez dłuższy czas. Kiedy wracam z wodą
 orientowałam się, że mam pociąg. Zaczęłam szukać wagonu
 chwilę, jak wychyliłam się na stację, wtedy ktoś powiedział
 i zaczęła krzyknąć: „Antoś, Antoś”. Później mi powiedziano, że
 z pociągu, ale powzięła o chorą matkę i o innych dzieciach. Prze-
 cię nie mogła ich zostawić samych, to spowodowało, że została w wa-
 gonie. Pozostało mi jeszcze dwa tygodnie. Zaczęłam biegać po
 peronie, a gdy się skończyły zajęcia, wróciłam do wa-
 gonu, ale mi się nie udało, upadłam. Wtedy zerwał mi się igrzysko
 na czułość nogę wagonu skacząc na stopnie, a nogę
 straciłam. Wtedy wzięli mnie w szpital. Wtedy straciłam
 następnym potrąceniu przez pociąg i straciłam przytomność. Leżałam
 przytomny przez wiele godzin. Jak się obudziłam zobaczyłam uśmiech
 stacji pod siebie. Wtedy mówiono, że straciłam przytomność, że
 ta dziewczyna mi nie pomagała i nie była przy mnie. Po tygodniu po-
 jedliśmy dalej, jeździłam bez dokumentów, bez pieniędzy, bez
 do tyłu. Wreszcie pozostało w pociągu. Pozostało mi jedynie ubranie,
 które miałam na sobie, w tym czasie chodziłam z mundurkiem ojca. Ludzie
 którzy mnie widzieli powiadomili polską policję. Wróciłam do
 do szpitala, gdzie leżałam. Później dowiedziałam się, że niedługo po
 wypadku przychodzili na stację jakby ludzie i pytali się co się stało,
 czyż nie, oni nie wiedzieli, nie wiem przez kogo, że nie żyję,
 czyż nie, straciłam nogę. Poinformowano o tym moją rodzinę, wszyscy

...miałam nadzieję, że umrze. ... pochowano
... Rodzina bardzo się zmartwiła. Opowiedzieli mi po spotkaniu
... że mama i siostra wzięły męża ze sobą. Odrzucają za mnie
... modlitwy. Ale ja jestem.

Chodziłem się w szpitalu. Przechodziłem przez lekarzy, pytałem się, kim
... jestem i gdzie mam dokumenty. ... w szpitalu
... roku 1941 był w tym mieście. ...
... kiedy opuściłem się troszkę lepiej zacząłem szukać rodziny. ...
... im się udało. ...
... do miejsca, gdzie mieszkaliśmy. ...
... dostałem odpowiedź, że ...
... i o sobie. ...
... siostra
... i ta kobieta
... w obronkach
... i wzięli
... do Iranu.

... było mi ciężko, ...
... bardzo samotny i zagubiony, ...
... nie miałem nikogo, ani znajomych, ani dokumentów, ani środków do
... życia. ...
... w szpitalu ...
... wszyscy chorzy leżeli razem. ...
... w oddzielnej sali. ...
... wszyscy roznosili chorobę. ...
... w szpitalu brakowało wszystkim lekarzy, ...
... w końcu ...
... Niemców znajdujących się w niewoli. ...
... wzięli Niemcy. ...
... w szpitalu ...
... tak właśnie się czuli. ...

potrzeby frontu.

Kiedy z nas został wyjęty, w przypadku jak ktoś się nie-
radził wzywano do nas instrukcje i oprowadzano. Nas też wzywano wy-
walić do NKWD kilka razy w paszport.

Do pewnego czasu powstawał KPP.

Kiedy wraz z kolegami, tym samym dla którego nie pojechałem
do polskiej armii przewożąc dowożącymi i innymi, "Żywiłowy".
W tej przesyłaliśmy informacje o tworzeniu się wojska, postanowiliśmy,
że razem pójdziemy do wojska. Chcieliśmy razem służyć. Miałem ochotę
dostać się na front, ale nie było możliwości. Chcieliśmy razem
iść do wojska. Miałem ochotę iść do wojska i nie było możliwości.
Miałem ochotę iść do wojska i nie było możliwości.

On pojechał, a ja miałem czekać. Nie otrzymałem jednak od niego
żadnych informacji. W tym czasie zacząłem mieć trudności z pracą.
Zostałem oskarżony o kradzież kieszonki. Oskarżenie wiązało się z
polskim tyłem, którym ja byłem. Była to prawda, ale
zrobili to na polecenie kierownika, kierownik nie chciał
zapłacić. Wtedy "wskazywałem", "broniłem", itp. Powiedziałem
że co mnie tu mają, nie mam nic do powiedzenia i że nie
będę dłużej czekał, że nie chcę iść do wojska. Powiedziałem
wtedy, że tamta do Wojska. Tam nie ma nic, nie przyjeżdżają
lekarze, byli na tyle niuwni, że przyjmowali wszystkich. Jak już
dostałem pozwolenie, to chciałem iść, ale nie było możliwości.
Zostałem karą mobilizacyjną i uciekłem. Wyruszyłem do Wojska.
Dostałem odprawę ze szpitala. Otworzyli mi do Siedlca pod Oką.
Tam przebywałem przez trzy tygodnie w obojczyku. Tam widziałem
niektórych żołnierzy w polskich mundurach, tylko mieli dziwne
oznaczenia. Przechodziłem przez komisję wojskową.

Wtedy mnie do 2 pp do kompanii filizjanów. Trzeba było trafić, że spo-

tkąłem mojego przyjaciela Miszkę, okazało się, że dostał się do artylerii przeciwlotniczej, ale nie mógł napisać do mnie.

Zaczeliśmy ćwiczenia.

15 lipca mieliśmy uroczystą przysięgę. Był kapelan Kupsz, Berling, W. Wasilewska. Po przysiędze odbyła się uroczysta defilada. Potem było Lenino. Żołnierz był niedoświadczony, młody i niedoszkolony. Nie zdawaliśmy sobie sprawy jak należy iść do ataku jak wygląda wojna dlatego jak szliśmy do ataku to szliśmy wyprostowani. Nie ufano nam w sowieckim dowództwie, obawiano się, że Polacy jak przejdą do pójda do Niemców. Jak szliśmy do ataku to wszyscy na nas patrzyli. Przerwaliśmy obronę niemiecką, ale nam nie dano wsparcia. Nie przeniesiono ognia i musieliśmy się wycofać. Było bardzo ciężko przed nami ściana ognia. Ponieśliśmy duże straty. Ja zostałem kontuzjowany.

(na taśmie jest trochę opisu walk i własne odczucia i opinie relacjonującego o znaczeniu bitwy pod Lenino ok. 10 min.)

Po powrocie do zdrowia wróciłem do wojska. Pamiętam jedno jak staliśmy na warcie przy pociągu to w transporcie obok usłyszałem polską mowę. Przeraziłem się, że znowu wywożą Polaków. Spytałem się kim są oni są. Okazało się, że to są Ukraińcy. Pomyślałem, że dobrze im tak za nasze krzywdy, że mordowali polskie rodziny.